Zagroda Matriony

Jeszcze dobre pół roku później na 184 kilometrze linii kolejowej między Moskwą a Muromem i Kazaniem wszystkie pociągi zwalniały bieg do tego stopnia, że niemal się zatrzymywały. Pasażerowie wyglądali przez okna, tłoczyli się na korytarzach: naprawiają tory, czy co? A może wypadliśmy z rozkładu?

Ale nie. Za przejazdem pociąg znów nabierał szybkości, a pasażerowie wracali na miejsca.

Tylko maszyniści wiedzieli i pamiętali, dlaczego tak było.

No i ja.

1

Latem 1956 roku z pylistej rozpalonej pustyni wracałem do Rosji na chybił trafił — byle tylko tam. Nikt mnie nigdzie nie oczekiwał i nie wzywał, gdyż opóźniłem mój powrót o jakie dziesięć lat. Chciałem po prostu znaleźć się gdzieś w pasie centralnym — nie ma tam upałów, szumią liściaste lasy. Pragnąłem przeniknąć w najtajniejsze wnętrze Rosji i ukryć się w nim — jeśli Rosja taka gdzieś istniała, żyła.

Rok wcześniej po tej stronie gór Uralskich mógłbym nająć się w najlepszym razie do dźwigania noszy. Nawet jako elektryka na porządną budowę by mnie nie wzięli. A mnie pociągało nauczycielstwo. Doświadczeni ludzie uprzedzali mnie, że szkoda pieniędzy na bilet, niepotrzebnie się tam wybieram.

Coś jednak już trochę drgnęło. Gdy wszedłem na górę po schodach we włodzimierskim wydziale oświaty i spytałem, gdzie tu jest dział kadr, zobaczyłem ze zdziwieniem, że kadry nie siedzą już za obitymi czarną dermą drzwiami, lecz za szklaną przegrodą, jak w aptece. Mimo to podszedłem nieśmiało do okienka, ukłoniłem się i spytałem:

— Czy nie potrzebujecie matematyków gdzieś z dala od linii kolejowej? Chciałbym zamieszkać tam na stałe.

Każdą literkę w moich dokumentach obejrzeli dokładnie, przechodzili z pokoju do pokoju, dzwonili gdzieś. Także i dla nich było to coś niespotykanego — każdy przecież rwie się do miasta i im większe jest, tym lepiej. A jednak dali mi angaż — Wysokie Pole. Już sama nazwa radowała duszę.

Nazwa nie kłamała. Na pagórku między polami, a potem wśród innych pagórków, otoczone zewsząd lasem ze stawem i jarem, Wysokie Pole było tym właśnie miejscem, gdzie nie żal byłoby żyć i umierać. Długo tam siedziałem w zagajniku na pniu i myślałem, że gorąco pragnąłbym nie musieć jadać co dzień śniadań i obiadów, byle tylko zostać tutaj i słuchać po nocach, jak na dachu szeleszczą gałęzie — gdy znikąd nie słychać radia, a cały świat wokół trwa w milczeniu.

Niestety, nie wypiekano tam chleba. Nie można tam było kupić nic do jedzenia. Cała wieś targała prowiant workami z rejonowego miasta.

Wróciłem do działu kadr i zacząłem błagać u okienka. Z początku nawet gadać ze mną nie chcieli. Potem jednak znów nastąpiło krążenie z pokoju do pokoju, dzwonienie tu i tam, szeleszczenie papierami i wreszcie wypisano na maszynie skierowanie do miejscowości „Torfoprodukt".

Torfoprodukt? Ojej, Turgieniew nie wyobrażał sobie, że coś takiego można wymyślić po rosyjsku!

Na stacji Torfoprodukt mieszczącej się w starym, skleconym prowizorycznie, szarym, drewnianym baraku wisiał surowy napis: „Do pociągu wsiadać tylko od strony dworca!" Ktoś wydrapał gwoździem na deskach dopisek: „I bez biletów." A przed kasą widniał wyryty nożem tak samo melancholijnie dowcipny napis: „Biletów nie ma." Dokładny sens tych dopisków pojąłem później. Do Torfoproduktu łatwo było przyjechać. Ale wyjechać stamtąd już nie.

Tutaj też rosły od wieków i przetrwały rewolucję potężne, nieprzebyte lasy. Potem je wyrąbano — zrobili to robotnicy z odkrywkowej kopalni torfu i sąsiedni kołchoz. Jego przewodniczący, Gorszkow, wyciął doszczętnie mnóstwo hektarów lasu, które korzystnie sprzedał do rejonu odeskiego, zdobywając tym sposobem dla swego kołchozu sławę, dla siebie zaś tytuł Bohatera Pracy Socjalistycznej.

Między torfowymi nizinami leżała rozrzucona bezładnie osada — jednakowe, źle otynkowane baraki z lat trzydziestych, a obok domki z lat pięćdziesiątych z rzeźbioną fasadą i oszklonymi werandami. Wewnątrz tych domków nie było przegrody sięgającej sufitu, nie mogłem więc wynająć pokoju z czterema prawdziwymi ścianami.

Nad osadą dymił komin fabryczny. W obie strony wiodła przez nią linia wąskotorowej kolejki i małe lokomotywy, też gęsto dymiące, z przeraźliwym świstem wlokły za sobą wagony pełne burego torfu, torfowych płyt i brykietów. Mogłem mieć pewność, że wieczorem nad drzwiami klubu drze się wniebogłosy radiola, a po ulicy wałęsają się pijacy dźgając się nawzajem nożami.

Oto dokąd przywiodło mnie marzenie o cichym zakątku Rosji. A przecież tam, skąd przyjechałem, mogłem żyć w glinianej lepiance z widokiem na pustynię. Wiał tam nocami świeży wiatr i tylko gwiaździste niebo rozpościerało się nad głową.

Nie mogłem zasnąć na stacyjnej ławce i gdy tylko zaczęło świtać, znów ruszyłem do osady. Teraz zobaczyłem małe targowisko. Ze względu na wczesną porę stała tam tylko jedna kobieta, sprzedawała mleko. Wziąłem butelkę i zacząłem pić duszkiem.

Zdumiał mnie jej sposób mówienia. Kobieta nie mówiła, lecz nuciła przymilnie — tęsknota za takimi właśnie słowami wygnała mnie z Azji:

— Pij, pij, duszo spragniona. Pewnoś przyjezdny?

— A wy skąd jesteście? — rozpromieniłem się.

I dowiedziałem się, że nie wszystko wokół to odkrywkowa kopalnia torfu; za torami kolejowymi jest pagórek, a za pagórkiem wioska, nazywa się Talnowo i jest tu od dawna, kiedyś rządziła tu pani — „Cyganka", a wokół rósł gęsty las. A dalej leży mnóstwo innych wiosek: Czaslice, Owince, Spudnie, Szewertnie, Szestimirowo — w coraz większej głuszy, coraz odleglejsze od kolei, bliższe jezior.

Ukojeniem powiało na mnie od tych nazw. Zapowiadały starodawną Rosję.

Poprosiłem moją nową znajomą, by zaprowadziła mnie, gdy skończy się targ, do Talnowa i pomogła znaleźć chatę, gdzie mógłbym wynająć izbę.

Okazało się, że warto wziąć mnie na kwaterę: prócz opłaty szkoła obiecywała dodatkowo ciężarówkę torfu na zimę. Na twarzy kobiety odbiły się troski bynajmniej już nie miłe. U niej samej miejsca nie było (wraz z mężem hodowali jej zgrzybiałą matkę), więc zaprowadziła mnie do jakichś swoich krewnych, a potem do jeszcze innych. Ale i tu nie znalazł się osobny pokój, wszędzie było ciasno i gwarno.

Tak doszliśmy do rzeczułki, której wątłe wody przegradzała grobla z mostkiem. Ładniejszego miejsca nie dostrzegłem w całej wsi: kilka płaczących wierzb, przekrzywiona chata, a po stawie pływały kaczki i otrząsając się wychodziły na brzeg gęsi.

— No, chyba już tylko do Matriony zajrzymy — powiedziała moja przewodniczka, wyraźnie już mną zmęczona. — Ale u niej niezbyt czysto, żyje w zaniedbaniu, choruje.

Dom Matriony stał tuż obok, w pobliżu, z czterema okienkami wyglądającymi rzędem na zimną, ciemną stronę; był pokryty dranicą, dwuspadowy, ze zdobionym okienkiem na pięterku. Dom wcale nie niski — osiemnaście wieńców belek. Jednakże dranice przegniły, poczerniały ze starości bale zrębu i niegdyś mocne wrota, przerzedził się ich szalunek.

Furtka była zamknięta na zasuwkę, lecz przewodniczka moja nie stukała, wsunęła tylko dołem rękę i otworzyła tę nieskomplikowaną przeszkodę dla bydła i człowieka. Podwórko było pod gołym niebem, ale pod

dachem prócz chaty mieściło się wiele. Za wejściowymi drzwiami wewnętrzne schodki prowadziły na górę do obszernej sieni pod wysokim dachem. Z lewej strony dodatkowe schody wiodły do świetlicy — obszernej przybudówki bez pieca, oraz w dół, do komory. A po prawej stronie mieściła się izba, ze strychem i piwnicą.

Budowano ten dom dawno i solidnie, dla licznej rodziny; teraz mieszkała w nim samotna, sześćdziesięcioletnia kobieta.

Gdy wszedłem do izby, leżała na ruskim piecu tuż przy wejściu, nakryta jakimiś ciemnymi szmatami, bezcennymi dla kogoś, kto całe życie ciężko pracował.

Duża izba, a zwłaszcza najlepsza, przyokienna jej część, były zastawione na stołkach i ławach doniczkami i kadkami, w których rosły fikusy. Wypełniały one samotność gospodyni milczącym, lecz żywym tłumem. Rozrosły się bujnie, zabierając skąpe światło północnej strony. Przy słabym oświetleniu, w dodatku za kominem, okrągła twarz gospodyni wydała mi się żółta, schorowana. Po zmętniałych oczach można było poznać, że choroba dała się jej we znaki.

Rozmawiając ze mną leżała na piecu na wznak, bez poduszki, głową ku drzwiom, a ja stałem na dole. Nie ucieszyła się, że dostanie lokatora, utyskiwała na ciężką chorobę, której atak właśnie mijał; dopadała ją każdego miesiąca, a gdy dopadła...

— ... Trzyma dwa dni albo i trzy, tak że ani wstać, ani usłużyć wam nie dam rady. A izby mi nie żal, mieszkajcie sobie.

Wyliczyła inne gospodynie, u których byłoby mi spokojniej i wygodniej, kazała do nich iść. Ale już wiedziałem, że to moje przeznaczenie — zamieszkać w tej półmrocznej izbie z mętnym lustrem, w którym nie można się przejrzeć, w izbie z dwoma jaskrawymi, tanimi plakatami o sprzedaży książek i wysokich plonach, powieszonymi na ścianie dla ozdoby. Było mi tutaj dobrze już choćby dlatego, że z biedy Matriona nie miała radia, a żyjąc samotnie nie mogła z nikim rozmawiać.

I choć Matriona Wasiliewna zmusiła mnie, bym pochodził jeszcze po wsi i choć, gdy przyszedłem po raz drugi, długo się wymawiała:

— Nie umiejący, nie gotuję — jakże ci dogodzę? — powitała mnie już na nogach i mój powrót wywołał w jej oczach nawet jakby pewne zadowolenie.

Umówiliśmy się co do ceny i torfu, który przywiezie szkoła.

Dopiero potem się dowiedziałem, że rok za rokiem, przez wiele lat, nie zarobiła Matriona Wasiliewna ani jednego rubla. Nie wypłacano jej przecież emerytury. Krewniacy pomagali mało. A w kołchozie pracowała nie za pieniądze — za kreski. Kreski dniówek w zatłuszczonej książce rachmistrza.

No i tak zamieszkałem u Matriony Wasiliewny. Nie rozdzieliliśmy pokoju na dwie części. Łóżko jej stało w kącie koło drzwi przy piecu, a ja swoją polówkę rozłożyłem przy oknie odsuwając od światła ulubione fikusy gospodyni; przy drugim oknie postawiłem stół. Elektryczność we wsi była — jeszcze w latach dwudziestych przeciągnięto tu przewody od Szatury. W gazetach pisano wtedy „żarówki Ilicza", a chłopi wybałuszali oczy i mówili „Car Ogień!"

Może jakiemuś bogatszemu mieszkańcowi wsi chata Matriony nie wydawałaby się dobra, dla nas jednak tamtej jesieni i zimy była całkiem wygodna: jeszcze nie przeciekała od deszczów, a zimne wiatry wywiewały z niej ciepło pieca nie natychmiast, lecz dopiero nad ranem, zwłaszcza gdy ciągnęło od gorszej, wiatrem podszytej strony.

Prócz Matriony i mnie mieszkał jeszcze w chacie kot, myszy i karaluchy.

Kot był niemłody, a przede wszystkim — kulawy. Przygarnięty przez Matrionę z litości, osiadł u niej na stałe. Chodził na czterech łapach, lecz mocno kulał: chronił jedną łapę, łapa ta była chora. Gdy skakał z pieca, dźwięk uderzenia o podłogę nie był miękki jak u wszystkich kotów: było to mocne klapnięcie trzech łap naraz: łup! — tak mocne, że nie od razu do tego przywykłem, drgałem gwałtownie. Kot wysuwał trzy łapy naraz, żeby ochronić czwartą.

Nie dlatego jednak po izbie biegały myszy, że kulawy kot nie dawał sobie rady: skakał za nimi w kąt jak błyskawica i wynosił je stamtąd w zębach. Myszy były dla kota niedostępne, kiedyś bowiem, za czasów, gdy jeszcze dobrze się tu żyło, izbę oklejono karbowanymi, zielonkawymi tapetami i to nie jedną warstwą, lecz pięcioma. Ze sobą warstwy tapet sklejone były dobrze, ale w wielu miejscach oderwały się od ściany — w ten sposób utworzyła się jakby wewnętrzna skóra. Między belkami a tapetową skórą myszy zrobiły sobie przejścia i bezczelnie szeleściły biegając nawet pod sufitem. Kot słuchał tego szelestu ze złością, lecz dopaść myszy nie mógł.

Czasami jadł też karaluchy, ale robiło mu się od tego niedobrze. Jedyną rzeczą, jaką karaluchy szanowały, była linia przepierzenia oddzielającego wylot ruskiego pieca i kuchnię od paradnej izby. Do paradnej izby nie przepełzały. Za to w kuchni po nocach roiło się od nich i jeśli późno wieczorem idąc napić się wody zapalałem tam żarówkę — podłoga i wielka ławka, a nawet ściana, były niemal całe bure i ruszały się. Przynosiłem z gabinetu chemicznego boraks i mieszając go z ciastem truliśmy karaluchy. Po tym było ich mniej, lecz Matriona bała się, że wraz z nimi otruje kota. Przestawaliśmy sypać truciznę i karaluchy znów się mnożyły.

Po nocach, gdy Matriona już spała, pracowałem przy stole — nagły szybki szelest myszy za tapetami zagłuszał czasem jednostajne, nieprzerwane niczym daleki szum oceanu szemranie karaluchów za przepierzeniem. Lecz przywykłem do tego. Nie było przecież w tym nic złego, nie było w tym fałszu. Szmer ten był ich życiem.

Przywykłem też do tandetnej ślicznotki z plakatu na ścianie, wciąż podającej mi w milczeniu Bielińskiego, Panfiorowa i stos innych książek. Przywykłem do wszystkiego, co było w chacie.

Gospodyni wstawała między czwartą a piątą rano. Swój zegar ścienny kupiła w wiejskim sklepie dwadzieścia siedem lat temu. Zawsze się spieszył, lecz nie martwiło to Matriony — byle tylko się nie spóźniał, byle rano wstać o czasie. Włączała światło za kuchennym przepierzeniem i cicho, grzecznie, starając się nie robić hałasu, rozpalała w piecu, szła doić kozę (z inwentarza miała tylko tę brudnobiałą krzywonogą kozę), szła po wodę i gotowała w trzech sagankach: jeden dla mnie, jeden dla siebie i jeden dla kozy. Dla kozy wybierała z piwnicy najdrobniejsze ziemniaki, dla siebie — drobne, a dla mnie — wielkości kurzego jajka. Bo duże ziemniaki w jej piaszczystym warzywniku, od przedwojennych lat nie nawożonym i zawsze obsadzonym ziemniakami — nie rosły.

Prawie nie słyszałem jej porannej krzątaniny. Spałem długo, budziłem się przy późnym zimowym świetle i przeciągałem się wysuwając głowę spod koca i kożucha. Dodatkowo jeszcze łagrowy waciak położony na nogi, a od spodu worek wypchany słomą utrzymywały ciepło nawet w te noce, gdy mróz dobijał się od północnej strony do naszych nędznych okienek. Usłyszawszy za przepierzeniem cichy szmer, mówiłem statecznie:

— Dzień dobry, Matriono Wasiliewno!

I zawsze te same życzliwe słowa biegły do mnie spoza przepierzenia. Zaczynały się jakimś niskim, ciepłym pomrukiem, jak u babć, gdy opowiadają bajki:

— M-m-m-m... także i wam!

A w chwilę później:

— Śniadanie dla was goto-o-o-we.

Co jest na śniadanie, nie mówiła, ale i tego łatwo można było się domyślić: k a r t o c h l e w mundurach lub k a r t o c h l a n k a (tak mówili wszyscy we wsi) lub pęczak (innej kaszy tego roku nie można było kupić w Torfoprodukcie, a i pęczak też nie bez walki — tą najtańszą kaszą karmiono świnie i brano ją workami). Nie zawsze było to posolone jak należy, często przypalone, po zjedzeniu zostawiało nalot na podniebieniu i dziąsłach, wywoływało zgagę.

Ale to nie Matriona była winna: w Torfoprodukcie nie sprzedawano również masła, margarynę rozchwytywano natychmiast, dostępny był tylko tłuszcz zwany uniwersalnym. A i na ruskim piecu, jak się przekonałem, niełatwo jest pitrasić: nie widać tego, co się gotuje, żar do garnka podchodzi z różnych stron nierównomiernie. Lecz piec ten nasi przodkowie przejęli aż z kamiennego wieku pewno dlatego, że po napaleniu o świcie przez cały dzień chroni w cieple karmę i pojło dla bydła, jadło i wodę dla człowieka. I śpi się przy nim w cieple.

Pokornie zjadałem wszystko, co mi Matriona nagotowała, cierpliwie

odkładałem na bok, jeśli trafiało się jakieś paskudztwo: włos, kawałeczek torfu, karalusza łapka. Nie miałem serca robić Matrionie wyrzutów. W końcu sama mnie uprzedzała: „Nie umiejący, nie gotuję — jakże ci dogodzę."

— Dziękuję — mówiłem z całkowitą szczerością.

— A za cóż to? Za tyle co swoje? — rozbrajała mnie promiennym uśmiechem. I patrząc prostodusznie wyblakłymi, niebieskimi oczyma, pytała: — A na odwieczerz co przygotować?

Na odwieczerz znaczyło — na kolację. Jadłem dwa razy na dobę, jak na froncie. Cóż mogłem zamówić na odwieczerz? Zawsze to samo: kartochle lub kartochlankę.

Godziłem się z tym, gdyż życie nauczyło mnie nie w jadle odnajdywać sens codziennej egzystencji. Droższy był mi uśmiech na jej zaokrąglonej twarzy, który, gdy dorobiłem się wreszcie aparatu fotograficznego, bez skutku usiłowałem utrwalić. Widząc zimne oko obiektywu Matriona przybierała sztywny lub przesadnie surowy wyraz twarzy.

Raz tylko udało mi się sfotografować, jak uśmiechała się do czegoś wyglądając przez okno na dwór.

Tej jesieni Matriona doznała wielu krzywd. Właśnie weszły w życie nowe przepisy emerytalne i sąsiadki podsunęły jej myśl, by starać się o emeryturę. Była zupełnie samotna, a od czasu, gdy zaczęła ciężko chorować, z kołchozu też ją wypisali. Wiele zła wyrządzono Matrionie: była chora, lecz nie przyznano jej inwalidztwa; ćwierć wieku przepracowała w kołchozie, lecz ponieważ nie była to fabryka — nie przysługiwała jej emerytura za siebie samą, starać się mogła tylko o emeryturę za męża, czyli z tytułu utraty żywiciela. Lecz męża nie miała już piętnaście lat, od początku wojny, i niełatwo było teraz zdobyć zaświadczenia z różnych miejsc o jego staszu i ile zarabiał. Trzeba było starać się o te zaświadczenia i żeby jednak napisali, że dostawał na miesiąc przynajmniej trzysta rubli; i poświadczyć zaświadczenie, że mieszka sama i nikt jej nie pomaga; i w jakim roku się urodziła; a potem wszystko to zanieść do ubezpieczalni, nosić tu i tam, poprawiać, jeśli coś jest nie tak, i znowu przynosić. Wreszcie dowiadywać się — przyznali emeryturę czy nie.

Starania te były tym bardziej kłopotliwe, że ubezpieczalnia znajdowała się o dwadzieścia kilometrów na wschód od Talnowa, rada wiejska — dziesięć kilometrów na zachód, a osiedlowa — na północ, godzinę drogi piechotą. Pędzano Matrionę z kancelarii do kancelarii przez dwa miesiące — to kropki brak, to przecinka. Każda wyprawa cały dzień zajmuje. Idzie Matriona do rady wiejskiej, a sekretarza dzisiaj nie ma, nie ma i już, zdarza się to na wsi. Jutro, znaczy się, znowu trzeba iść. Teraz sekretarz jest, ale nie ma pieczątki. Na trzeci dzień Matriona znów idzie. A na czwarty musi iść dlatego, że władza złożyła podpis nie patrząc, na innym papierku. Wszystkie te papierki Matriona trzyma razem, w jednym pliku.

— Krzywdzą mnie, Ignaticz — skarżyła się po tych bezowocnych wyprawach. — Zadręczyli.

Lecz czoło jej krótko pozostawało mroczne. Zauważyłem, że najlepszym sposobem odzyskania dobrego nastroju była dla Matriony praca. Zaraz chwytała za łopatę i kopała kartochle. Albo z workiem pod pachą szła po torf. Lub z wyplataną kobiałką na jagody do dalekiego lasu. I kłaniała się nie biurkom w kantorze, lecz krzewom leśnym, z obolałymi od dźwigania plecami wracała do chaty już rozpromieniona, wszystkiemu rada, z dobrym uśmiechem.

— Teraz zakarbowałam sobie, Ignaticz, wiem skąd brać — mówiła o torfie. — To ci miejsce, po prostu śliczności!

— Ależ Matriono Wasiliewno, czyż mojego torfu nie starczy? Cała ciężarówka.

— Tfu! Tfu! Twojego torfu! Jeszcze tyle i jeszcze drugie tyle — kto wie, wtedy może starczy. Tu jak zima uderzy, tak wieje w okna, że wciąż człek pali w piecu, i wciąż wywiewa ciepło. Latoś ileśmy tego torfu przywlekły! Tera też bym ze trzy ciężarówki przywlekła! Ale łapią. Już jedną naszą babę po sądach włóczą.

Tak, istotnie tak było. Już wirował przeraźliwy oddech zimy i ściskały się serca. Wokół rozpościerały się lasy, a palić w piecu nie było czym. Ryczały koparki na bagnach, lecz nie sprzedawano torfu mieszkańcom, tylko wywożono — dla władzy, dla tych, co są blisko władz, i po ciężarówce — nauczycielom, lekarzom, robotnikom z kopalni. Opał nie należał się — nawet pytać o to nie było wolno. Przewodniczący kołchozu chodził po wsi, patrzył w oczy rozkazująco, mętnie lub prostodusznie, i mówił o wszystkim prócz opału. Sam już się zaopatrzył. A zimy nie przewidywano.

Cóż, dawniej kradli drzewo z pańskiego lasu, teraz ściągali torf — własność zjednoczenia. Baby zbierały się po pięć lub po dziesięć, żeby było raźniej. Chodziły za dnia. Przez lato nakopano torfu wszędzie i ułożono go w stosy, żeby się suszył. To właśnie jest dobre w torfie: po wydobyciu nie można go wywieźć od razu. Schnie do jesieni, a nawet do pierwszych śniegów, póki droga nie zamarznie lub zjednoczenie się nie piekli. Właśnie wtedy baby go brały. Za jednym razem zabierały w worku ze sześć brykietów, gdy były nieco wilgotne, a z dziesięć, gdy były suche. Jeden taki worek, niesiony czasem ze dwa kilometry (a ważył ze dwa pudy) starcza na jeden dzień. A dni w zimie jest dwieście. Palić trzeba: rano w ruskim piecu, a pod wieczór — w kaflowym.

— Po co gadać po próżnicy! — złościła się Matriona na kogoś nieokreślonego. — Jak zabrakło koni, to czego sam człek nie przydźwiga, tego w domu nie ma. Plecy nigdy mi nie wydobrzeją. Zimą sanki wlokłam, a latem chrust na grzbiecie — słowo daję, prawda!

Chodziły baby za dnia — i to niejeden raz. Gdy dni były pomyślne,

Matriona przynosiła po sześć worków. Mój torf ułożyła tak, żeby go było widać, swój chowała pod wyszką i co wieczór zabijała przejście deską.

— Chyba się nie domyślą, herody jedne — uśmiechała się wycierając z czoła pot — bo tak, to pewnikiem nie znajdą.

Cóż miało robić zjednoczenie? Nie przydzielono mu etatów do rozstawiania wartowników na wszystkich bagnach. Z pewnością trzeba było pochwalić się wysokim wydobyciem w sprawozdaniach, a potem spisywać je na straty — torf wykruszył się na miał, padały deszcze. Czasem, zrywami, zbierali patrol i łapali baby na drodze do wsi. Baby rzucały worki i rozbiegały się. Niekiedy, gdy przyszedł jakiś donos, chodzili od domu do domu z rewizją, spisywali protokół o nielegalnym posiadaniu torfu i grozili sądem. Baby na jakiś czas przestawały nosić torf, lecz nadchodząca zima znów je pędziła z sankami po nocach.

A w ogóle, to przyglądając się Matrionie dostrzegłem, że prócz gotowania i gospodarowania w domu co dzień musiała załatwić jeszcze jakąś inną, poważną sprawę; właściwą kolejność tych spraw miała w głowie i obudziwszy się rano zawsze wiedziała, co dziś będzie robić. Prócz torfu, prócz zbierania starych pniaków, wywróconych przez traktor na bagnach, prócz borówek moczonych na zimę w ćwiartkach („poostrz sobie ząbki, Ignaticz" — częstowała mnie), prócz kopania kartofli, prócz zabiegów wokół emerytury musiała jeszcze gdzieś zdobywać siano dla swej jedynej, brudnobiałej kozy.

— Dlaczego nie trzymacie krowy, Matriono Wasiliewno?

— Ech, Ignaticz — wyjaśniała Matriona stojąc w niezbyt czystym fartuchu w drzwiach kuchennych i patrząc na mój stół. — Mnie mleka i od kozy starczy. Gdybym sprawiła sobie krowę, z nogami by mnie zeżarła. Koło torów kosić nie wolno — są tam gospodarze, w lesie też nie da rady — leśnictwo zabrania, kołchoz też mi nie pozwala — mówią, żem już nie kołchoźnica. Ale jeśli nawet kołchoźnica, to oni i tak aż do pierwszych śniegów wszystko dla kołchozu, dla kołchozu, a sobie — to, co spod śniegu, tylko co to za trawa? A bywało, przy sianie robota paliła się w ręku, gdy woda była niska, od świętego Pawła po świętego Ilię, trawa była wtedy jak miód!

Tak, zebranie siana dla jednej chudej kozy wymagało od Matriony ogromnego wysiłku. Brała o świcie worek, sierp, i szła w miejsca, które pamiętała, tam, gdzie trawa rosła na bruzdach, przy drodze, na wysepkach bagiennych. Wypchawszy worek świeżą, ciężką trawą, dźwigała go do domu i rozkładała trawę na podwórzu warstwami. Z jednego worka zostawało po wyschnięciu tyle siana, ile można było nabrać na widły.

Nowy przewodniczący, niedawno przysłany z miasta, w pierwszej kolejności obciął wszystkim inwalidom warzywniki. Matrionie zostawił piętnaście arów piasku, a dziesięć leżało odłogiem za płotem. Zresztą i za te piętnaście arów kołchoz ciągnął ile wlezie. Gdy brakło rąk do pracy, gdy baby

zbyt uparcie mówiły „nie", żona przewodniczącego przychodziła do Matriony. Też była kobietą miastową, stanowczą, miała krótką szarą kurtkę i groźne spojrzenie, zupełnie jakby służyła w wojsku.

Wchodziła do izby i nie witając się patrzyła surowo na zmieszaną Matrionę.

— Ta-a-a-k — mówiła dobitnie żona przewodniczącego. — Towarzyszko Grigoriewa! Trzeba pomóc kołchozowi! Jutro trzeba jechać wywozić nawóz!

Twarz Matriony wykrzywiał przepraszający uśmiech — tak jakby wstyd jej było, że żona przewodniczącego nie może jej zapłacić za pracę.

— No cóż — mówiła śpiewnie. — Co prawda chora jestem. I do waszych spraw teraz nie przyłączona. — Ale od razu się poprawiała: — O której godzinie przyjść?

— I widły zabierz własne! — pouczała żona przewodniczącego i wychodziła szeleszcząc sztywną spódnicą.

— A jakże! — utyskiwała w ślad za nią Matriona. — I widły własne! Ani łopat, ani wideł nie ma w kołchozie. A ja bez chłopa żyję, kto mi widły oprawi?

I zastanawiała się potem przez cały wieczór:

— Co tu gadać, Ignaticz! Psu na budę taka robota! Stanie człek, o łopatę się oprze i czeka, kiedy na kopalni zagwiżdżą, że już dwunasta. W dodatku baby pyskują jak najęte, wytykają jedna drugiej, kto przyszedł, a kto nie. Jak kiedyś na siebie człek robił, to nikogusieńko słychać nie było, tylko oj-oj-oj, zara obiad był, a rychło potem wieczór.

Mimo to szła rano z własnymi widłami.

Nie tylko z kołchozu, ale i różne dalekie krewne czy po prostu sąsiedzi też przychodzili do Matriony pod wieczór i mówili:

— Jutro, Matriono, przyjdziesz do mnie. Kartofle będziemy kopać.

I Matriona nie umiała odmówić. Zostawiała mnóstwo swoich spraw, szła pomagać sąsiadce, a wróciwszy mówiła bez cienia zawiści:

— Ach, Ignaticz, ależ wielgachne te jej kartochle! Chętnie kopałam, nie chciało mi się wracać z pola, słowo daję!

Tym bardziej nie obywała się bez Matriony żadna orka w warzywnikach. Talnowskie baby przekonały się bowiem, że samej skopać warzywnik łopatą jest znacznie ciężej i dłużej niż wtedy, gdy wezmą sochę, zaprzęgną się w szóstkę i zaorzą wspólnie sześć warzywników. Po to też wołano Matrionę do pomocy.

— Zapłaciliście jej chociaż? — pytałem później.

— Nie chciała pieniędzy. Siłą jej nie wciśniesz.

Miała też Matriona wiele kłopotów, gdy nadchodziła jej kolej karmić kozich pastuchów — jednego — potężnego — niemogłuchego i drugiego — dzieciucha, stale trzymającego w zębach zaślinionego skręta. Kolej ta wypadała raz na półtora miesiąca i przysparzała mnóstwo wydatków.

Matriona szła do wiejskiego sklepiku, kupowała konserwy rybne, zdobywała jeszcze cukier i masło, choć sama ich nie jadła. Jak się okazało, gospodynie prześcigały się nawzajem, każda wyłaziła ze skóry, by nakarmić pastuchów jak najlepiej.

— Bać się trzeba krawca i pastucha — tłumaczyła mi Matriona. — Po całej wsi cię osławią, gdy coś im nie w smak.

Do tego życia, brzemiennego troskami, wdzierała się w dodatku co jakiś czas ciężka choroba: Matriona waliła się wtedy z nóg i dobę lub dwie leżała jak martwa. Nie skarżyła się, nie jęczała, ale też niemal się nie poruszała. W takich dniach Masza, bliska przyjaciółka Matriony jeszcze z czasów młodości, przychodziła oporządzać kozę i rozpalać w piecu. Sama zaś Matriona nie piła, nie jadła i o nic nie prosiła. Wezwać do domu lekarza z osiedlowej przychodni byłoby w Talnowie czymś dziwacznym, wręcz nieprzyzwoitym wobec sąsiadów — myślałby kto, wielka pani. Raz jeden wezwali, lekarka przyjechała wściekła, kazała Matrionie, gdy się wyleży, przyjść do przychodni osobiście. Matriona chodziła wbrew własnej woli; robili jej analizy, dali skierowanie do rejonowego szpitala i na tym wszystko się skończyło.

Pilne sprawy wzywały do życia. Wkrótce Matriona zaczynała wstawać, z początku chodziła wolno, a potem znów żwawo.

— Szkoda, żeś mnie wcześniej nie widział, Ignaticz — usprawiedliwiała się. — Wszystkie worki podnosiłam, nawet pięciopudowe nie były dla mnie za ciężkie. Teść krzyczał: „Matriona! Złamiesz sobie kark!" Szwagier nawet mi nie pomagał mój koniec kłody na przodek zwalić. Konia mieliśmy wojskowego, Bąk się zwał, krzepkie konisko...

— Ale dlaczego koń był wojskowy?

— Naszego na wojnę wzięli, ten był poraniony, dali go zamiast tamtego. Ale jakiś znarowiony nam się trafił. Kiedyś ze strachu sanie poniósł do jeziora, chłopy odskakiwały, a ja, prawdę mówię, za uzdę schwyciłam i zatrzymałam. Owsiany był ten koń. U nas chłopi lubili konie hodować. Jak koń jest owsiany, to ciężaru nosić nie chce.

Ale bynajmniej nie była Matriona nieustraszona. Bała się pożaru, bała się p i e r u n ó w, a najbardziej, nie wiedzieć czemu, pociągu.

— Jak mam jechać do Czeruści, a z Nieczajewki pociąg wyskakuje, wielgachne ślepia wybałusza, szyny dudnią — aż gorączka mnie łapie, nogi pode mną się trzęsą. Słowo daję, to prawda! — sama dziwiła się i wzruszała ramionami.

— Może dlatego, że biletów nie sprzedają, Matriono Wasilewno?

— W okienku? Tylko pierwszą klasę wciskają. A pociąg zaraz rusza! Miotamy się w tę i we w tę, zrozumcież naszą trudną sytuację! Chłopy po schodkach na dach wlazły. A my zobaczyłyśmy drzwi nie zamknięte i władowałyśmy się tak, bez biletów — a wagony idą wszystkie zwyczajne, trze-

ciej klasy, jak chcesz, to rozkładaj się na półce. Dlaczego biletów nie chcieli dać, pasożyty niemiłosierne — nie wiadomo...

Mimo wszystko, gdy nadeszła tamta zima, życie Matriony ułożyło się pomyślnie jak nigdy dotąd. Przyznano jej jednak około osiemdziesięciu rubli emerytury. W dodatku setkę z hakiem otrzymywała od szkoły i ode mnie.

— Ho-ho! Teraz Matriona i umrzeć nie zechce! — już zazdrościły niektóre z sąsiadek. — Po co starej babie tyle pieniędzy?

— A niby cóż to jest — emerytura? — protestowali inni. — Od państwa to chwilowe. Dziś dali, a kto wie, czy jutro nie odbiorą.

Zamówiła sobie Matriona nowe walonki. Kupiła nowy serdak. I sprawiła palto z używanego kolejarskiego szynelu, który podarował jej maszynista z Czeruści, mąż jej wychowanicy Kiry. Wiejski krawiec-garbus podłożył pod sukno watolinę i wyszło z tego wspaniałe palto: takiego przez sześć dziesiątków lat Matriona nigdy nie miała.

W środku zimy zaszyła Matriona w podszewce tego palta dwieście rubli na swój pogrzeb. Poweselała:

— Trochę i ja spokoju zaznałam, Ignaticz.

Minął grudzień, minął styczeń — przez dwa miesiące nie nawiedziła jej choroba. Coraz częściej Matriona wieczorami chodziła do Maszy — posiedzieć trochę, pogryźć pestki. Do siebie gości wieczorem nie zapraszała, szanowała moje zajęcia. Tylko na Trzech Króli zastałem w izbie po powrocie ze szkoły tańce i poznałem trzy rodzone siostry Matriony, które — ponieważ była najstarsza, nazywały ją „piastunką" lub „niańką". Do tego dnia mało w naszej izbie słyszałem o siostrach — może bały się, że Matriona poprosi je o pomoc?

Jedno tylko zdarzenie czy też zły znak omroczył Matrionie to święto: poszła pięć wiorst do cerkwi, żeby poświęcić wodę, postawiła swój kociołek koło innych, a gdy woda była już poświęcona i baby rzuciły się jedna przez drugą zabierać z powrotem, Matriona nie zdążyła z pierwszymi, a gdy wreszcie się przepchała, nie było już jej kociołka. Zamiast kociołka żadnego innego naczynia też nikt nie zostawił. Zniknął kociołek, jakby siła nieczysta go porwała.

— Kobitki! — krążyła Matriona wśród modlących się bab. — Czy która nie wzięła aby cudzej wody święconej? W kociołku?

Nie przyznał się nikt. Czasem to dzieciaki psocą, były tam też dzieciaki. Wróciła Matriona smutna. Zawsze miała święconą wodę, a w tym roku nie.

Nie można jednak powiedzieć, by była bardzo religijna. Raczej była poganką, brały w niej górę zabobony: w dzień Iwana Postnego wchodzić do warzywnika nie wolno — na przyszły rok nic się nie urodzi; gdy zamieć

hula, znaczy to, że ktoś się powiesił, a jak drzwi nogę komu przytną — gość lada chwila przyjdzie. Jak długo u niej mieszkałem — nigdy nie widziałem, by się modliła czy też choć raz się przeżegnała. A każdą sprawę zaczynała od słów: „Z Bogiem!", do mnie też zawsze mówiła „Z Bogiem!", gdy szedłem do szkoły. Może i modliła się, ale nie na pokaz, może się mnie wstydziła lub nie chciała przeszkadzać. Był w paradnej izbie poczesny kąt i ikona Mikołaja Błogosławionego w małej kuchni. W dni powszednie było tam ciemno, lecz gdy zaczynało się wieczorne nabożeństwo i w świąteczne ranki, zapalała Matriona lampkę.

Tylko że grzechów mniej miała na sumieniu niż kulawy kot. Ten przynajmniej zabijał myszy...

Wyrwawszy się nieco ze swego żałosnego żywota zaczęła Matriona pilniej słuchać mojego radia (nie omieszkałem zainstalować sobie „razwiedki" — tak właśnie nazywała „rozetkę", czyli gniazdko). Mój mały odbiornik nie był już dla mnie batem — własną ręką mogłem go w każdej chwili wyłączyć; i rzeczywiście, docierał do mnie z głuchej izby jak zwiadowca*. Owego roku trafiały się po dwie i trzy zagraniczne delegacje w tygodniu, trzeba było je witać, żegnać, obwozić po miastach, organizować wiece. I każdego dnia dziennik obfitował w doniosłe informacje o bankietach, obiadach i śniadaniach.

Matriona chmurzyła się, wzdychała z niechęcią:

— Jeżdżą, jeżdżą, jeszcze coś wyjeżdżą...

Usłyszawszy, że wynaleziono nowe maszyny, zrzędziła z kuchni:

— Wciąż nowe i nowe, na starych robić nie chcą, gdzie stare będziemy składać?

Jeszcze w ubiegłym roku zapowiadano, że polecą w kosmos sztuczne satelity ziemi. Matriona kiwała głową z pieca:

— Ojejku, jejku, coś tam poplączą, zimę albo lato...

Szalapin śpiewał pieśni rosyjskie. Matriona stała, stała, słuchała, wreszcie rzekła stanowczo:

— Cudacznie jakoś. Nie po naszemu.

— Co też mówicie, Matriono Wasiliewno, posłuchajcie tylko... Posłuchała jeszcze chwilę. Zacisnęła wargi:

— Nie. Nie tak. Inaczej niż u nas. I głosem co wyczynia...

Zostałem jednak także wynagrodzony. Nadawano kiedyś koncert romansów Glinki. I nagle po pięciu kameralnych romansach, trzymając w ręku rąbek fartucha Matriona wyszła zza przepierzenia rozrzewniona, ze łzami w wyblakłych oczach:

— A to po naszemu... — wyszeptała.

---

* razwiedka (ros.) — zwiad

BIBLIOTEKA GDAŃSK

Matriona przywykła do mnie, ja do niej i żyliśmy sobie spokojnie. Nigdy nie przeszkadzała mi w mojej długiej, wieczornej pracy, nie dokuczała natrętnymi pytaniami. Tak dalece była wyzbyta babskiej ciekawości czy może tak bardzo delikatna, że nie zapytała mnie nigdy, czy byłem kiedykolwiek żonaty. Baby talnowskie wciąż się jej czepiały, by się czegoś o mnie dowiedziała. A ona im odpowiadała:

— Jak wam to potrzebne — same pytajcie. Wiem tylko jedno — on jest z daleka.

I gdy po jakimś czasie sam jej powiedziałem, że długo byłem więziony, tylko w milczeniu pokiwała głową, tak jakby domyślała się tego przedtem.

A ja też widziałem Matrionę teraźniejszą, zahukaną i starą, i też nie jątrzyłem jej wspomnień, nawet nie podejrzewałem, że można tam czegoś szukać.

Wiedziałem, że za mąż Matriona wyszła jeszcze przed rewolucją i od razu trafiła do chaty, w której teraz mieszkaliśmy, od razu do kuchni (nie żyła już teściowa i starsza niezamężna szwagierka, więc nazajutrz rano po ślubie Matriona stanęła przy garach). Wiedziałem, że dzieci miała sześcioro i jedno po drugim umierały bardzo wcześnie, a dwoje od razu urodziło się martwych. Potem miała jakąś wychowankę Kirę. A mąż Matriony nie wrócił z ostatniej wojny. Zawiadomienia o śmierci też nie dostała. Chłopi z tej samej wsi, co służyli z nim w jednej kompanii, powiadali, że albo do niewoli się dostał, albo zginął, tylko ciała nie znaleziono. Minęło jedenaście powojennych lat i Matriona sama doszła do wniosku, że jej mąż nie żyje. I dobrze, że tak myślała. Gdyby nawet teraz żył, pewno byłby żonaty gdzieś w Brazylii czy Australii. A wieś Talnowo i język rosyjski zatarłyby się w jego pamięci...

Wróciwszy kiedyś ze szkoły zastałem w naszej chacie gościa. Wysoki, czarny starzec położył na kolanach czapkę i siedział na krześle wystawionym przez Matrionę na środek pokoju koło kaflowego pieca. Twarz jego okalały gęste czarne włosy, niemal nie tknięte siwizną: z czarną, bujną brodą zlewały się wąsy, czarne, tak gęste, że ledwo było widać usta; długie czarne bokobrody odsłaniając trochę uszy szły w górę ku czarnym kosmykom zwisającym z czaszki; w dodatku szerokie czarne brwi jak mosty przerzucone były nawzajem ku sobie. I tylko łyse czoło przechodziło w szeroką, również łysą kopułę głowy. W całej postaci tego starca zauważyłem mądrość i dostojeństwo. Siedział równo, ręce oparł na kiju, ten zaś wbił w podłogę — siedział w pozycji cierpliwego oczekiwania i chyba mało rozmawiał z Matrioną, krzątającą się za przepierzeniem.

Gdy przyszedłem, wolno obrócił w moją stronę majestatyczną głowę i rzekł do mnie nagle:

— Kiepsko was widzę, ojczulku! Syn mój u was się uczy. Grigorjew Antoszka...

Dalej mógłby już nie mówić... Mimo całej chęci, by pomóc dostojnemu starcowi, z góry już wiedziałem i odrzucałem wszystko niepotrzebne, co zaraz powie. Antoszka Grigorjew był pulchnym rumianym malcem z ósmej G, wyglądał jak pączek w maśle. Do szkoły przychodził jakby na odpoczynek, siedział w ławce z leniwym uśmieszkiem. A tym bardziej nigdy nie odrabiał lekcji w domu. Najważniejsze jednak, że walcząc o wysoki procent dobrych ocen, którym chlubiły się szkoły naszego rejonu, naszego obwodu i obwodów sąsiedzkich — z roku na rok przepuszczano go do następnej klasy, a on doskonale rozumiał, że choćby nie wiem jak odgrażali się nauczyciele, i tak pod koniec roku go przepuszczą, więc uczyć się nie potrzeba. Po prostu kpił sobie z nich. Był w ósmej klasie, lecz nie znał ułamków i nie wiedział, jakie istnieją trójkąty. Po dwóch pierwszych okresach miał u mnie mnóstwo dwój — i to samo czekało go w trzecim okresie.

Jakże mogłem teraz powiedzieć temu na wpół ślepemu starcowi, co mógłby być nie ojcem, lecz dziadkiem Antoszki, i przyszedł do mnie z pokorną prośbą, że rok za rokiem szkoła go oszukiwała, ja zaś dłużej oszukiwać nie mogę, w przeciwnym razie rozwalę całą klasę, będę szmatą, wypadnie mi napluć na całą moją pracę i autorytet.

Teraz cierpliwie mu tłumaczyłem, że syn jest bardzo zaniedbany, w szkole i w domu kłamie, trzeba jak najczęściej sprawdzać jego dziennik i ostro brać się za niego z obu stron.

— Ostrzej już nie można, ojczulku — zapewnił mnie gość. — Tłukę go przez okrągły tydzień. A rękę mam ciężką.

Podczas tej rozmowy przypomniałem sobie, że już kiedyś i Matriona nie wiedzieć czemu wstawiała się za Antoszką Grigorjewem, lecz nie spytałem, czy to jej krewny, i też wtedy odmówiłem. Także i teraz Matriona stała w drzwiach kuchni jak milcząca petentka. I gdy Faddiej Mironowicz wyszedł ode mnie mówiąc, że będzie zaglądał i dowiadywał się, spytałem:

— Nie rozumiem, Matriono Wasiliewno, co was z tym Antoszką łączy?

— To syn mojego szwagra — odpowiedziała Matriona oschle i poszła doić kozę.

Po chwili zastanowienia zrozumiałem, że czarny, natarczywy starzec to rodzony brat jej męża, zaginionego bez wieści.

Minął długi wieczór, a Matriona nie wracała już do tej rozmowy. Dopiero późnym wieczorem, gdy zapomniałem już o starcu i pisałem coś przy akompaniamencie karaluszego szmeru i stukotu zegara na ścianie, Matriona nagle odezwała się ze swego ciemnego kąta:

— Kiedyś omal za niego za mąż nie wyszłam, Ignaticz.

Zapomniałem już nawet o Matrionie, o tym, że jest tutaj, nie słyszałem jej — lecz z takim przejęciem wyrzekła to z ciemności, jakby i jeszcze teraz stary rościł sobie do niej jakieś prawa.

Widać przez cały wieczór myślała tylko o tym.

Wstała z ubogiego, pokrytego szmatami łóżka i powoli szła w moją stronę jakby w ślad za swymi słowami. Odwróciłem się — i po raz pierwszy w innym świetle zobaczyłem Matrionę.

Górnego oświetlenia nie było w naszym dużym pokoju zastawionym lasem fikusów. A od lampy stołowej padał jasny krąg tylko na moje zeszyty — w całym pokoju oczy, które oderwały się od światła, widziały tylko różowy półmrok. Wyłaniała się z niego Matriona. Policzki jej wydały mi się nie żółte jak zawsze, lecz też zaróżowione.

— On pierwszy przysłał do mnie swatów... wcześniej niż Jefim... Był jego starszym bratem... Mnie minął dziewiętnasty roczek, a Faddiejowi dwudziesty trzeci... Mieszkali tutaj, w tej chacie. To był ichni dom. Ich ojciec go wybudował.

Mimo woli obejrzałem się za siebie. Stary, poczerniały, na wpół przegniły dom, poprzez wyblakło-zieloną skórę tapet, za którymi biegały myszy, odsłonił mi nagle swe młode, wtedy jeszcze jasne, ociosane belki, powiało od niego wesołym, smolistym zapachem.

— A wyście go?... I co dalej?

— Tamtego lata... chodziłam z nim do zagajnika posiedzieć — wyszeptała. — Tam, gdzie tera stajnia, zagajnik był, wyrąbali go... Mało brakowało, a wyszłabym za niego, Ignaticz. Ale wojna z Niemcem się zaczęła. Wzięli Faddieja na wojnę.

Uroniła te słowa — i zapłonął przede mną błękitny, biały i żółty czerwiec czternastego roku: niebo jeszcze spokojne, płynące obłoki, dojrzałe zboża i żniwiarze, którym robota pali się w rękach. Wyobraziłem sobie, jak stoją jedno obok drugiego: czarnowłosy chłop, potężny jak dąb, z kosą na ramieniu; ona — rumiana, obejmuje snop. I pieśń — pieśń pod niebem, taka, jakiej dawno wieś nie umie śpiewać, zresztą kto by tam śpiewał przy maszynach.

— Poszedł na wojnę — i przepadł... Trzy lata zaparłam się w sobie, czekałam. Ani słychu, ani dychu...

Obwiązana starczą, spłowiałą chustą spoglądała na mnie w ukośnych, łagodnych refleksach światła stojącej na stole lampy okrągła twarz Matriony — uwolniona jak gdyby od zmarszczek, od codziennego, zaniedbanego stroju — wystraszona, dziewczęca, zmuszona do strasznego wyboru.

Tak. Tak... Rozumiem... Opadały liście, prószył śnieg — a potem roztapiał się. Znów orka, znów siewy, znów żniwa. I znów opadały liście, i znów prószył śnieg. Jedna rewolucja. Druga rewolucja. Świat wywrócił się do góry nogami.

— Matka ich zmarła i Jefim przysłał do mnie swatów. — Do naszej

chałupy chciałaś iść, no to przychodź. Jefim był młodszy ode mnie o rok. Powiadają u nas: mądra za mąż idzie po święcie Matki Boskiej Opiekunki, a głupia — po świętym Piotrze. Rąk do roboty im brakowało. Poszłam... Na świętego Piotra wzięliśmy ślub, a na zimowego Mikołaja... wrócił... Faddiej... z węgierskiej niewoli.

Matriona zamknęła oczy.

Milczałem.

— Stanął w progu. A ja jak nie wrzasnę! Padłabym mu do kolan! Nie wolno... No, powiada, gdyby to nie brat mój rodzony, zarąbałbym was oboje!

Drgnąłem. Jej udręka, a może strach spowodowały, że wyobraziłem sobie żywo, jak stoi tam, w ciemnych drzwiach, czarnowłosy chłop i toporem zamierza się na Matrionę.

Ona jednak uspokoiła się, oparła ręce o stojące przed nią krzesło i opowiadała śpiewnie:

— Ojej, biednam ci ja, biednam! Tyle dziewuch było we wsi — nie ożenił się z żadną. Powiedział: będę imienia twojego szukał, inną Matrionę znajdę. I przyprowadził sobie Matrionę z Lipowki, zbudowali chatę, do dziś tam mieszkają, co dzień ich mijasz do szkoły idący.

Aha, więc to tak! Teraz zrozumiałem, że widziałem nieraz tamtą Matrionę. Nie lubiłem jej: zawsze przychodziła do mojej Matriony skarżyć się, że mąż ją bije, jest skąpy, żyły z niej wypruwa, i długo płakała, a w jej głosie była zawsze łzawa nuta.

Ale wynikało z tego, że moja Matriona nie ma czego żałować — tak strasznie bił Faddiej swoją Matrionę przez całe życie, bije i teraz, cały dom trzyma za gardło.

— Mnie gospodarz ani razu nie uderzył — opowiadała Matriona o Jefimie. — Na ulicy do chłopów z pięściami skakał, a do mnie — ani razu. Chociaż był taki raz — pokłóciłam się ze szwagierką, a on mi łyżkę na głowie rozwalił. Wyskoczyłam zza stołu: „A udławcie się, zdechnijcie, trutnie!" I pobiegłam do lasu. Więcej już mnie nie tknął.

Zdaje się, że i Faddiej nie miał czego żałować: urodziła mu druga Matriona też sześcioro dzieci (wśród nich i mojego Antoszkę, najmłodszego, wyskrobka) — a żyły wszystkie, nie tak jak u Matriony i Jefima — u nich, nie dożywszy trzech miesięcy i na nic nie chorując, umierało każde.

— Jedna dziewuszka się urodziła, umyliśmy ją i zaraz umarła. Martwej już nie trzeba było myć... Wesele miałam na świętego Piotra, a szóste dziecko, syna Aleksandra, też na świętego Piotra pochowałam.

I doszła do wniosku cała wieś, że Matriona jest popsowana.

— Popsowana jestem! — z przekonaniem kiwała głową nawet teraz Matriona. — Wozili mnie do takiej jednej, co kiedyś mniszką była, kaszel mi wywoływała, czekała, że zepsowanie żabą ze mnie wyskoczy. Ale jakoś nie wyskoczyło...

I płynęły jak woda lata... W czterdziestym pierwszym nie wzięli na wojnę Faddieja, bo był ślepy, za to Jefima wzięli. I tak jak starszy brat podczas pierwszej wojny, tak młodszy zaginął bez wieści podczas drugiej. Tylko że ten nigdy nie wrócił. Gniła i starzała się niegdyś pełna gwaru, teraz pusta chata — i starzała się w niej osamotniona Matriona.

Poprosiła więc tę drugą, zahukaną Matrionę, by dała jej owoc swego żywota (a może krew z krwi Faddieja) — ich najmłodszą córeczkę Kirę.

Przez dziesięć lat wychowywała ją jak własne dziecko, zamiast swoich, które się nie uchowały. I na krótko przed moim przyjazdem wydała za młodego maszynistę z Czeruści. Tylko stamtąd sączyła się teraz dla niej jakaś pomoc: czasem trochę cukru, a gdy prosiaka zarżną — słoniny.

Wymęczona chorobą i przeczuwając rychłą śmierć już wtedy ogłosiła Matriona swoją ostatnią wolę: osobny zrąb świetlicy daje po swej śmierci w spadku Kirze. O samej chacie nie powiedziała nic. Jeszcze trzy jej siostry chciałyby tę chatę dostać.

Tak owego wieczora otworzyła się Matriona przede mną. I, jak to często bywa, gdy tylko sobie uzmysłowiłem koleje jej życia, zaraz potoczyły się one dalej. Z Czeruści przyjechała Kira, zaniepokoił się stary Faddiej: by dostać w Czeruściach i utrzymać skrawek ziemi, młodzi musieli coś na nim zbudować. Najlepiej nadawała się do tego świetlica Matriony. Nic innego nie można było postawić, nie było skąd brać drewna. I nie tyle Kira i jej mąż, co stary Faddiej zapalił się do myśli, by wywalczyć tę działkę w Czeruściach...

I dlatego zaczął nas często odwiedzać, przyszedł raz i drugi, mentorskim tonem rozmawiał z Matrioną, domagał się, by oddała przybudówkę już teraz, za życia. Podczas tych wizyt nie wydawał mi się już wspartym na lasce starcem, którego może przewrócić lekkie szturchnięcie czy ordynarne słowo. Wprawdzie przygarbiony, ze zbolałym krzyżem, lecz wciąż jeszcze postawny, mimo sześćdziesiątki soczyście czarnowłosy, atakował zapalczywie.

Matriona nie spała przez dwie noce. Niełatwo przyszła jej ta decyzja. Nie było jej żal samej izby, która stała bez użytku, ani swego trudu, ani dobroci nie żałowała Matriona nigdy. I tak przybudówkę tę miała dostać w spadku Kira. Lecz strach było burzyć dach, pod którym Matriona przeżyła czterdzieści lat. Nawet mnie, lokatora, bolało, że zaczną odrywać deski i wywracać belki chaty. A dla Matriony był to koniec wszystkiego.

Ci jednak, którzy tego się domagali, wiedzieli, że dom można rozebrać i za jej życia.

Więc Faddiej zjawił się wraz z synami i zięciami pewnego lutowego ranka i zaczęli stukać pięcioma toporami naraz, zgrzytać i skrzypieć odrywanymi deskami. Oczy Faddieja pobłyskiwały rzeczowo. Choć jego plecy

nigdy nie rozprostowały się do końca, zręcznie wspinał się nawet pod krokwie, żywo krzątał się na dole pokrzykując na pomocników. Jako młody chłopak sam budował tę chatę ze swoim ojcem; tę przybudówkę właśnie dla niego, najstarszego syna, szykowali, by zamieszkał tam z młoduchą. A teraz z pasją rozbierał świetlicę na części, by wywieźć ją z cudzej zagrody.

Ponumerowawszy wieńce zrębu i deski stropu, przybudówkę rozebrano, a samą chatę ze zwężoną sienią osłonięto prowizoryczną ścianką z tarcicy. W ściance zostawiono szczeliny i wszystko wskazywało, że to burzyciele, a nie budowniczowie i że ludzie ci nie sądzą, by Matriona długo jeszcze tu pożyła.

Podczas gdy mężczyźni burzyli, kobiety przygotowywały na dzień załadunku bimber: wódka kosztowałaby zbyt drogo. Kira przywiozła z obwodu moskiewskiego pud cukru, Matriona Wasiliewna pod osłoną nocy nosiła ten cukier i butelki do bimbrownika.

Wyniesiono i ułożono w sąg belki przed wrotami, zięć-maszynista pojechał do Czeruści po traktor.

Tego samego dnia rozszalała się zamieć — dujawica, według Matriony. Hulała, kłębiła się przez dwie doby i zasypała drogę wielkimi zaspami. Potem, gdy tylko trochę drogę oczyszczono, przejechała jedna ciężarówka, druga — i nagle ociepliło się, w ciągu jednego dnia nadeszła odwilż, drogę osnuła wilgotna mgła, szemrały strumyki wyłaniające się spod śniegu, a noga w bucie grzęzła po cholewę.

Przez dwa tygodnie traktor nie mógł sobie poradzić z rozebraną przybudówką! Przez te dwa tygodnie Matriona chodziła przygnębiona. A było jej szczególnie ciężko, gdyż zjawiły się trzy jej siostry, zgodnie jej nawymyślały, że jest głupia, bo oddała świetlicę, powiedziały, że widzieć jej więcej nie chcą — i poszły sobie.

Również w tych dniach kulawy kot uciekł gdzieś z podwórza i przepadł. Nieszczęścia chodzą parami. To też przybiło Matrionę.

Wreszcie rozmiękłą drogę ścisnął mróz. Nastał słoneczny dzień i zrobiło się na duszy weselej. Przyśniło się Matrionie coś dobrego minionej nocy. Gdy dowiedziała się rano, że chciałbym sfotografować kogoś przy starych krosnach (stały jeszcze takie w dwóch chatach, tkano na nich zgrzebne chodniki), uśmiechnęła się nieśmiało:

— Poczekaj jeszcze, Ignaticz, kilka dni, jak tylko wyprawię w drogę przybudówkę, rozłożę moje krosna, są przecie całe — i sobie pstrykniesz. Słowo daję!

Widać sprawiało jej przyjemność, że może na fotografii powrócić do dawnych czasów. Czerwone, mroźne słońce lekko różowym blaskiem zalało zmarznięte okienko w sieni, teraz nieco krótszej — i blask ten ogrzewał twarz Matriony. Piękne twarze mają ci zwłaszcza, co żyją w zgodzie z własnym sumieniem.

Przed mrokiem, wracając ze szkoły, dostrzegłem koło naszego domu jakąś krzątaninę. Wielkie, nowe traktorowe sanie były już załadowane belkami, choć jeszcze mnóstwo się nie zmieściło — dlatego rodzina Faddieja i jego pomocnicy sami klecili jeszcze jedne sanie. Wszyscy pracowali ciężko, z zapamiętaniem, jakie zdarza się ludziom, gdy wokół pachną wielkie pieniądze lub można się spodziewać hojnego poczęstunku. Krzyczeli jeden na drugiego, kłócili się.

Spór dotyczył sposobu, w jaki należy wieźć sanie — osobno czy razem. Jeden z synów Faddieja — ten kulawy — i zięć-maszynista tłumaczyli, że razem obojga sań wieźć nie można, traktor nie uciągnie. A traktorzysta, pyszałkowaty potężny chłop z tłustą gębą chrypiał, że on wie lepiej, że to on jest k i e r o w c ą i powiezie sanie razem. Było jasne, o co mu chodzi: zgodnie z umową maszynista płacił za przewiezienie świetlicy, a nie za kursy. Dwóch kursów przez noc — dwadzieścia pięć kilometrów tam i z powrotem — za nic by nie zrobił. A nad ranem musiał już wracać z traktorem do garażu, skąd zabrał go potajemnie na l e w ą fuchę.

Stary Faddiej chciał jak najprędzej, choćby jeszcze dziś, wywieźć wszystko — więc kiwnął głową swoim, żeby ustąpili. Drugie, w pośpiechu sklecone sanie, przyczepiono do tych pierwszych, solidnych.

Matriona biegała wśród mężczyzn, uwijała się, pomagała wciągać bierwiona na sanie. Zauważyłem, że chodzi w moim waciaku, że już ubrudziła rękawy o pokryte lodem brudne belki, i powiedziałem jej to z niezadowoleniem. Waciak ten był dla mnie pamiątką, ogrzewał mnie w trudnych latach.

Tak po raz pierwszy rozgniewałem się na Matrionę Wasiliewnę.

— Ojej-ku! Biedna moja główeńka! — zakłopotała się Matriona. — W biegu chwyciłam, zapomniałam, że to twój. Wybacz, Ignaticz. — Zdjęła waciak i powiesiła go, żeby wysechł.

Skończono załadunek i wszyscy, którzy przy nim pracowali, bodaj z dziesięciu mężczyzn, przeszli z hałasem koło mojego stołu i dali nura pod zasłonę do kuchni. Głucho stukały tam szklanki, czasem szczęknęła butelka, głosy były coraz krzykliwsze, przechwałki — coraz czupurniejsze. Szczególnie chełpił się traktorzysta. Ciężki odór bimbru doleciał i do mnie. Ale pili niedługo — ciemności zmuszały do pośpiechu. Zaczęli wychodzić. Zadowolony z siebie, z wyrazem okrucieństwa na twarzy, wyszedł traktorzysta. Odprowadzać sanie do Czeruści szli zięć-maszynista, kulawy syn Faddieja i jakiś bratanek. Reszta rozchodziła się do domów. Faddiej wymachując kijem doganiał kogoś, spieszył się, by mu coś wyjaśnić. Kulawy syn przystanął koło mojego stołu, by zapalić, i nagle powiedział, że bardzo lubi ciotkę Matrionę, a ożenił się niedawno, syn mu się właśnie urodził. W tym momencie zawołali go i wyszedł. Za oknem zawarczał traktor.

Ostatnia wyskoczyła zza przepierzenia Matriona. Niespokojnie kręciła

głową patrząc za gośćmi. Włożyła waciak, narzuciła chustkę. W drzwiach powiedziała do mnie:

— Nie mogli to dwóch przysposobić? Jakby jeden traktor zaniemógł — drugi by podciągnął. A co teraz będzie — Bóg jeden wie!

I wybiegła za innymi.

Po pijaństwie, kłótniach i ciągłej krzątaninie zrobiło się niezwykle cicho w opuszczonej chacie, wyziębionej od częstego otwierania drzwi. Za oknami już całkiem ściemniało. Ja też włożyłem waciak i siadłem przy stole. Traktor ucichł w oddali.

Minęła godzina, a potem następna. I jeszcze jedna. Matriona nie wracała, lecz nie dziwiło mnie to: zapewne odprowadziła sanie i poszła do swojej Maszy.

I znów minęła godzina. I jeszcze jedna. Nie tylko mrok, lecz jakaś głęboka cisza zapanowała we wsi. Nie mogłem wtedy zrozumieć, skąd ta cisza — okazało się później, że ani jeden pociąg nie przejechał na linii odległej pół wiorsty od nas. Mój radioodbiornik milczał, a ja zauważyłem, że jak nigdy głośno biegają myszy: coraz hałaśliwiej, coraz bezczelniej krążą za tapetami, skrobią i popiskują.

Ocknąłem się. Było już po dwunastej w nocy, a Matriona nie wracała.

Nagle usłyszałem we wsi kilka donośnych głosów. Były jeszcze daleko, lecz już drgnąłem, pewien, że to do nas. I rzeczywiście, wkrótce ktoś zaczął mocno stukać we wrota. Obcy władczy głos krzyknął, żeby otwierać. Wyszedłem z latarką elektryczną w gęste ciemności. Cała wieś spała, w oknach się nie świeciło, a śnieg, który przez tydzień trochę roztajał, też nie lśnił. Odsunąłem dolną zasuwkę i otworzyłem. Do chaty weszło czterech mężczyzn w szynelach. Bardzo to nieprzyjemne, gdy nocą przychodzą do człowieka z łomotem i w szynelach.

Przy świetle zobaczyłem jednak, że dwaj z nich mają na sobie szynele kolejarskie. Starszy, tęgi, z taką samą twarzą jak ów traktorzysta, spytał:

— Gdzie gospodyni?

— Nie wiem.

— Traktor z saniami z tej zagrody wyjeżdżał?

— Z tej.

— Pili tu, nim wyjechali?

Wszyscy czterej mrużyli oczy, rozglądali się w półmroku — paliła się tylko lampa na stole. Zrozumiałem, że kogoś aresztowali lub też chcieli aresztować.

— Ale co się stało?

— Odpowiadajcie na pytania!

— Ale...

— Wyjechali po pijanemu?

— Pili tutaj?

Zabił ktoś kogo? A może świetlicy nie wolno było przewozić? Jakoś zbyt

ostro na mnie napadli. Jedno było jasne: za bimber mogą Matrionę posadzić.

Cofnąłem się w stronę kuchennych drzwi i zasłoniłem je własnym ciałem.

— Doprawdy, nie zauważyłem. Nie widziałem.

(Rzeczywiście nie widziałem: słyszałem za to.)

I jakby z zakłopotaniem wskazałem ręką izbę: łagodne światło lampy nad książkami i zeszytami na stole; tłum wystraszonych fikusów; surowa prycza pustelnika. Żadnych śladów hulanki.

Zresztą już sami z niezadowoleniem spostrzegli, że żadnego pijaństwa tu nie było. Cofnęli się ku wyjściu mówiąc do siebie, że pito chyba nie w tej chacie, choć dobrze byłoby stwierdzić, że pito. Wyszedłem z nimi wypytując, co się stało. Dopiero przy furtce jeden z mężczyzn burknął:

— Rozpieprzyło ich wszystkich. W drobny mak. Nie ma czego zbierać.

A drugi dodał:

— To jeszcze nic! Pospieszny numer dwadzieścia jeden omal się nie wykoleił, wtedy dopiero by było...

I szybko odeszli.

Kogo — ich? Kogo — wszystkich? I gdzie jest Matriona?

Wróciłem do chaty, odsunąłem zasłonę, wszedłem do małej kuchni. Smród bimbru uderzył mi w nozdrza. Było to zastygłe pobojowisko stłoczonych stołków i ławek, rzuconych na podłogę pustych butelek i jednej nie dopitej, szklanek, nie dojedzonych śledzi, cebuli i pokrojonej byle jak słoniny.

Wszystko było martwe. Tylko karaluchy spokojnie pełzały po polu bitwy.

Rzuciłem się, żeby posprzątać. Płukałem butelki, chowałem żywność, ustawiałem krzesła, a resztki bimbru schowałem w ciemnej piwnicy, jak najgłębiej.

I dopiero gdy to wszystko zrobiłem, stanąłem jak pień na środku pustej izby: mówili coś przecież o pospiesznym numer dwadzieścia jeden. Dlaczego? Może należało to wszystko im pokazać? Ogarnęły mnie wątpliwości. Cóż to za przeklęty nawyk — ani słowa wyjaśnienia osobie nieurzędowej!

Nagle skrzypnęła nasza furtka. Szybko wyszedłem do sieni.

— Matriona Wasiliewna?

Do chaty chwiejąc się weszła jej przyjaciółka Masza:

— Matriona... Nasza Matriona, Ignaticz...

Posadziłem ją i kobieta, mieszając łzy ze słowami, opowiedziała mi wszystko.

Na przejeździe jest wzgórze, stromy podjazd. Szlabanu nie ma. Z pierwszymi saniami traktor przejechał, lecz pękła lina i drugie sanie, własnej roboty, ugrzęzły na przejeździe, zaczęły się rozpadać — Faddiej nie dał dobrego drewna na te sanie. Odwieźli nieco dalej pierwsze — wrócili po drugie, traktorzysta i kulawy syn Faddieja zaczęli mocować linię, tam też

między traktor a sanie poniosło Matrionę. W czym mogła chłopom pomóc? Wiecznie pchała nos w męskie sprawy. Kiedyś omal koń jej do jeziora nie wtrącił w przerębel. I po co na ten przeklęty przejazd poszła? — oddała przybudówkę i koniec z długami, rozliczyła się... Maszynista wciąż patrzył, czy aby z Czeruści pociąg nie jedzie, jego świateł nie widać z daleka — tylko że z drugiej strony, od naszej stacji, szły dwie sczepione lokomotywy — bez świateł i tyłem. Dlaczego bez świateł — nikt nie wie, a gdy lokomotywa idzie tyłem, maszyniście z tendra sypie w oczy węglowy pył, mało co widzi. Najechali na nich i rozwalili na miazgę tych troje, co stali między traktorem a saniami. Traktor zniszczyli, sanie rozbili w drobny mak, i wykoleili obie lokomotowy.

— Jakże to, nie usłyszeli, że lokomotywy jadą?

— Przecie traktor, jak włączyć motor, głośno ryczy...

— A co z trupami?

— Nie puszczają nikogo. Pilnują dokoła.

— Słyszałem coś o pospiesznym... Podobno pospieszny...

— Ten pospieszny, co jedzie o dziesiątej, na naszej stacji nie staje i też jedzie przez przejazd. Ale jak runęły lokomotywy, dwaj maszyniści ocaleli, zeskoczyli i pobiegli z powrotem, rękami wymachują, na torach stanęli — zdążyli pociąg zatrzymać... Bratanka też belka pokaleczyła. Schował się teraz u Kławki, żeby nie wiedzieli, że tam był. Włóczyliby go bez końca po sądach za świadka! Ten, co nic nie wie, na piecu się wyleguje, a ten, co wie, na sznurku iść musi... A mąż Kirki — ani zadraśnięcia. Chciał się wieszać, ściągnęli mu z szyi stryczek. Przeze mnie, powiada, ciocia zginęła i brat. Teraz sam poszedł się zaaresztować. Oj, nie do więzienia on teraz zdatny, ale do domu wariatów! Ach, Matriono, moja ty kochana!

Nie ma już Matriony. Zginął bliski mi człowiek. I w tym ostatnim dniu miałem do niej pretensje o waciak.

Czerwono-żółta baba na plakacie reklamującym książki uśmiechała się radośnie.

Ciocia Masza posiedziała jeszcze chwilę, popłakała sobie, i już wstała, żeby iść. Nagle spytała:

— Ignaticz! Pamiętasz... Matriona miała szary blezer robiony na drutach... Po śmierci obiecała go mojej Tańce, prawdę mówię?

I z nadzieją spojrzała na mnie w półmroku — czy aby nie zapomniałem?

Lecz ja pamiętałem.

— Obiecała, prawdę mówicie.

— Słuchaj, pozwól teraz go zabrać. Rano zlecą się krewniaki i już nie dostanę.

I znów spojrzała na mnie błagalnie — najbliższa przyjaciółka od pół wieku, jedyna, która szczerze lubiła Matrionę w tej wsi...

Pewno tak było trzeba.

— Naturalnie... Proszę zabrać... — powiedziałem.

Otworzyła kuferek, wyjęła blezer, schowała pod połę i wyszła...

Myszami owładnęło jakieś szaleństwo, biegały po ścianach bez końca, i niemal jak fale, widoczne dla oka, płynęły zielone tapety nad mysimi grzbietami.

Nie miałem dokąd iść. Jeszcze tu przyjdą, żeby mnie przesłuchać. Rano czekała mnie szkoła. Minęła już druga w nocy. Jedynym wyjściem było zamknąć dom i iść spać.

Zamknąć, bo Matriona nie przyjdzie.

Położyłem się przy zapalonym świetle. Myszy piszczały, niemal jęczały i ciągle biegały, biegały. Zmęczonej, skołowanej głowie trudno było wyzbyć się mimowolnego strachu — zdawało mi się, że to niewidzialna Matriona miota się i żegna ze swoją chatą.

I nagle, wyobraziłem sobie w mroku, przy drzwiach, na progu młodego czarnowłosego Faddieja z uniesionym w górę toporem:

„Gdyby to nie mój rodzony brat — zarąbałbym was oboje!"

Czterdzieści lat przeleżała jego groźba w kącie jak stare siekierzysko — by w końcu uderzyć...

3

Wczesnym rankiem kobiety przywiozły saniami z przejazdu okryte brudnym workiem wszystko, co pozostało z Matriony. Zrzuciły worek, by obmyć ciało. Wszystko było miazgą — ani nóg, ani połowy tułowia, ani lewej ręki. Jedna z kobiet przeżegnała się i powiedziała:

— Prawą rączynę Pan Bóg jej zostawił... Będzie się tam do Niego modlić...

I oto tłum fikusów, które Matriona tak lubiła, że obudziwszy się którejś nocy wśród dymu nie chatę rzuciła się ratować, lecz zrzucać fikusy na podłogę (żeby nie udusiły się w dymie) — fikusy te wyniesiono z izby. Do czysta zamieciono podłogi. Zmętniałe lustro Matriony zasłonięto szerokim ręcznikiem utkanym niegdyś na domowych krosnach. Zdjęto ze ścian tandetne plakaty. Przesunięto mój stół. I bliżej okien, pod świętymi obrazami, postawiono na stołkach zbitą jak najprościej trumnę.

A w trumnie leżała Matriona. Czystym prześcieradłem było przykryte jej nie istniejące, okaleczone ciało, głowę okalała chustka — tylko twarz pozostała caluteńka, spokojna, raczej żywa niż martwa.

Ludzie ze wsi przychodzili, by trochę postać i popatrzyć. Kobiety przyprowadzały też małe dzieci, żeby zobaczyły zmarłą. A gdy rozlegał się płacz, wszystkie kobiety, nawet te, które zajrzały do chaty z czczej ciekawości — wszystkie obowiązkowo popłakiwały, stały pod drzwiami i pod ścianami jakby akompaniując chórem. A mężczyźni wyprężyli się w milczeniu ze zdjętymi czapkami.

Samym zaś płaczem kierowały krewniaczki. W płaczu tym dostrzegłem chłodny, przemyślany, od dawien dawna ustalony porządek. Te, które łączyło ze zmarłą dalsze pokrewieństwo, podchodziły do trumny na krótko i przy samej trumnie lamentowały niegłośno. Te, które uważały, że są bliżej związane z nieboszczką, zaczynały płacz już od progu, zbliżywszy się do trumny pochylały się, by szlochać tuż nad twarzą zmarłej. Każda płaczka lamentowała na własną nutę. I wyrażała własne myśli i uczucia.

Zrozumiałem wtedy, że płacz nad zmarłą to nie zwyczajny płacz, lecz swego rodzaju polityka. Przybiegły trzy siostry Matriony, zawłaszczyły izbę, kozę i piec, zamknęły kufer na kłódkę, wypatroszyły podszewkę palta i wyciągnęły dwieście rubli schowane na pogrzeb, wszystkim, co przychodzili, wbijały do głowy, że tylko one były Matrionie bliskie. A nad trumną lamentowały tak:

— Ach, piastunko nasza, nianiu nasza! Nasza ty jedyna! Mogłaś sobie żyć cicho, spokojnie! A my zawsze byśmy ci dogadzały! Twoja świetlica cię zgubiła! Wykończyła cię, przeklęta! Dlaczego kazałaś ją rozebrać? Dlaczego nas nie posłuchałaś?

Zatem płacz sióstr był równocześnie oskarżeniem mężowskich krewniaków: po co zmuszali Matrionę do rozbierania przybudówki? (A w domyśle sens był taki: przybudówkę, owszem, wzięliście, ale chaty to już wam nie damy!)

Krewni ze strony męża — szwagierki Matriony, siostry Jefima i Faddieja, a także rozmaite bratanice przychodziły i lamentowały tak:

— Ach, ciotuniu, ciotuniu! Czemuś się nie strzegła? Pewno teraz gniewasz się na nas? Nasza ty kochaneńka, samaś sobie winna! A przybudówka to całkiem inna sprawa. Po co szłaś tam, gdzie na ciebie śmierć czyhała? Nikt cię tam nie prosił! I nie przyszło ci do głowy, jaką śmiercią umrzesz? Czemuś nas nie posłuchała?

(Spoza wszystkich tych lamentów wyzierała odpowiedź: nie my jesteśmy winni tej śmierci, a o chacie jeszcze pogadamy!)

Tylko „druga Matriona" — baba o szerokiej, grubo ciosanej twarzy, nieprawdziwa Matriona, którą wziął kiedyś Faddiej przez wzgląd na samo imię, zbaczała z tej politycznej drogi na manowce i prostodusznie szlochała głośno nad trumną:

— Siostrzyczko moja miła! Naprawdę gniewasz się na mnie? Och-jej! Bywało, gadałyśmy sobie i gadałyśmy! O ja nieszczęsna, wybacz mi! Och-jej! Odeszłaś do swojej matuli i pewno zajedziesz po mnie! Och-jej!

To „och-jej" było niemal jak ostatnie tchnienie: wciąż przy tym waliła piersią o trumnę. A gdy płacz jej przekraczał obrzędowe normy, kobiety, jakby przyznając, że nieźle się udał, mówiły zgodnie:

— Dość już tego! Dość!

Matriona odchodziła, lecz wkrótce znów wracała do trumny i szlochała

jeszcze rozpaczliwiej. Wyszła wtedy z kąta zgrzybiała starucha, położyła Matrionie rękę na ramieniu i rzekła surowo:

— Dwie zagadki są na świecie: jakem się urodził — nie pamiętam, jak umrę — nie wiem.

Matriona z miejsca ucichła i wszyscy ucichli, cisza głęboka zapadła.

Ale i ta stara kobieta, znacznie starsza niż wszystkie tutejsze starowiny i jakby nawet całkiem Matrionie obca, w jakiś czas później też lamentowała:

— Och, ty moja biedna! Och, ty moja Wasiliewno! Och, znudziło mi się was odprowadzać!

I całkiem już nie obrzędowo — zwykłym łkaniem naszych czasów, w których bynajmniej nie jest go mało, zanosiła się nieszczęsna przybrana córka Matriony — owa Kira z Czeruści, dla której burzono i wieziono przybudówkę. Jej zakręcone loczki były żałośnie potargane. Czerwone, jakby zalane krwią były oczy. Nie dostrzegała, że zsuwa się jej z głowy na mrozie chustka lub że nie trafia ręką w rękaw palta. Jak nieprzytomna chodziła od trumny swej przybranej matki w jednym domu do trumny brata w drugim — bano się, czy nie straci zmysłów, jej męża czekał bowiem sąd.

Wyglądało tak, że jej mąż był winien podwójnie: nie tylko wiózł przybudówkę, lecz był maszynistą kolejowym, dobrze znał przepisy o nie strzeżonych przejazdach — jego obowiązkiem było iść na stację, uprzedzić o traktorze. Tej nocy w uralskim pociągu pospiesznym życie tysiąca pasażerów spokojnie śpiących na półkach w półmroku wagonów było zagrożone. I to przez chciwość kilkorga ludzi: by zdobyć skrawek ziemi lub uniknąć dodatkowego kursu traktorem.

Przez przybudówkę, na którą spadło przekleństwo od chwili, gdy ręce Faddieja sięgnęły, by ją zburzyć.

Zresztą traktorzysta uniknął ludzkiego sądu. Zarząd kolei zaś sam był winien, że ruchliwego przejazdu nie strzeżono, a połączone lokomotywy jechały bez świateł. Właśnie dlatego starano się z początku wszystko zwalić na pijaństwo, a teraz zatuszować sprawę w sądzie.

Tory i torowisko były tak powykręcane, że przez trzy dni, póki trumny stały w domach, pociągi tędy nie jeździły — kierowano je na inną linię. Przez cały piątek, sobotę i niedzielę — od zakończenia śledztwa aż do pogrzebu — na przejeździe dniem i nocą naprawiano tory. Robotnicy marzli, więc by się ogrzać, a nocą — żeby było jasno, rozpalali ogniska z darmowych desek i bierwion: leżały rozsypane w pobliżu drugich sań koło przejazdu.

A pierwsze sanie, wraz z ładunkiem, stały całe niedaleko za przejazdem.

I właśnie to — to, że jedne sanie drażniły, czekały z gotową liną, a drugie jeszcze można było wyciągnąć z ognia — to właśnie dręczyło czarnobrodego Faddieja przez cały piątek i sobotę. Córka jego była bliska obłędu, zięciowi groził surowy wyrok, we własnym jego domu leżał zabity

przezeń syn, na tej samej ulicy — zabita przezeń kobieta, którą niegdyś kochał — lecz Faddiej zjawiał się na krótko, by postać przy trumnach trzymając się za brodę. Jego wysokie czoło omraczały ciężkie myśli, lecz myśli te koncentrowały się na jednym — jak ocalić belki przybudówki przed ogniem i zakusami sióstr Matriony.

Przypomniawszy sobie po kolei mieszkańców Talnowa zrozumiałem, że Faddiej nie był we wsi wyjątkiem.

Bowiem, o dziwo, d o b r e m naszym, wspólnym lub moim własnym, nazywa język to, co posiadamy. I tracić je oznacza w oczach innych ludzi postąpić haniebnie i głupio.

Nie przysiadając ani na chwilę miotał się Faddiej między osadą a stacją, od jednej władzy do drugiej, z przygarbionymi plecami, wsparty na kiju, błagał wszystkich, by ulitowali się nad jego starością i pozwolili zabrać przybudówkę.

I ktoś wreszcie dał takie zezwolenie. Faddiej zebrał resztę swoich synów, zięciów i bratanków, zdobył konie w kołchozie — i z drugiej strony rozbitego przejazdu, okrężną drogą poprzez trzy wioski, zwoził resztki przybudówki do swojej zagrody. Skończył tę robotę w nocy z soboty na niedzielę.

A w niedzielę był pogrzeb. Dwie trumny spotkały się na środku wsi, krewni zaczęli się spierać, która ma iść pierwsza. Potem postawili trumny na jednych saniach, ciotkę razem z bratankiem, i po lutowej, znów nawilgłej szreni, pod chmurnym niebem zawieźli nieboszczyków na cerkiewny cmentarz odległy o dwie wioski. Pogoda była wietrzna, brzydka i pop z diakonem czekali w cerkwi, nie wyszli konduktowi z Talnowa naprzeciw.

Do opłotków ludzie szli wolno i śpiewali chórem. Potem — zostali w tyle.

Jeszcze w sobotę wieczór nie cichła babska krzątanina w naszej chacie: staruszka przy trumnie mruczała psalmy, siostry Matriony kręciły się z uchwytem do garnków przy piecu, z pieca buchał żar od rozpalonych brykietów torfu — tych, które Matriona przynosiła w workach z dalekich bagien. Z marnej mąki kobiety piekły niesmaczne pierożki.

W niedzielę, po powrocie z pogrzebu, pod wieczór, zeszli się goście na stypę. Stoły zestawione w jeden długi stół obejmowały i to miejsce, na którym rano stała trumna. Najpierw wszyscy stali wokół stołu i starzec, mąż szwagierki, odmówił *Ojcze nasz*. Potem każdemu na samo dno miski nalano syty miodowej. Siorbaliśmy ją łyżkami ot tak, bez niczego, za spokój duszy zmarłej. Potem coś tam jedliśmy i piliśmy wódkę, rozmowy były coraz bardziej ożywione. Zanim podano kisiel, wszyscy wstali i zaśpiewali *Wieczne odpoczywanie* (tak mi to wyjaśniono: śpiewa się je zawsze przed kisielem). Znów wszyscy pili. I rozmawiali jeszcze głośniej, bynajmniej nie o Matrionie. Mąż szwagierki strasznie się przechwalał:

— Czy zauważyliście, prawosławni, że ojciec Michał odprawiał dziś nabożeństwo powoli? To dlatego, że mnie zauważył. Wie, że znam mszę świętą. Bo gdyby nie to — święty Boże nie pomoże, na jednej nodze by odprawił i tyle.

Wreszcie wieczerza dobiegła końca. Znowu wszyscy wstali. Zaśpiewali: „Godnym jest zaiste..." I znów, powtarzając po trzykroć: Wieczne odpoczywanie! Wieczne odpoczywanie! Wieczne odpoczywanie! Lecz głosy były ochrypnięte, niezgodne, twarze pijane i nikt w to wieczne odpoczywanie nie wkładał już serca.

Potem większość gości rozeszła się, pozostali tylko najbliżsi krewni, wyjęli papierosy, zapalili, zaczęły się żarty, śmiechy, ktoś wspomniał męża Matriony zaginionego bez wieści, a mąż szwagierki, bijąc się w pierś, przekonywał mnie i szewca, męża jednej z sióstr nieboszczki:

— Umarł Jefim, umarł! Jakżeby mógł nie wrócić? Nawet gdybym wiedział, że mnie w kraju powieszą — wróciłbym!

Szewc kiwał głową na znak zgody. Był dezerterem i nigdy się nie rozstawał z rodzinnymi stronami: całą wojnę przesiedział schowany u matki w piwnicy.

Wysoko na piecu siedziała pozostawiona tam na nocleg surowa, milcząca starucha, zgrzybiała jak nikt z obecnych. Patrzyła z góry, niemo i z potępieniem, na nieprzyzwoicie ożywioną pięćdziesięcio- i sześćdziesięcioletnią młodzież.

I tylko nieszczęsna przybrana córka, która wyrosła wśród tych ścian, poszła za przepierzenie i tam płakała.

Faddiej nie przyszedł na stypę po Matrionie — może dlatego, że sam wyprawiał stypę po swoim synu. Ale w ostatnich dniach dwa razy przychodził gniewny do tej chaty, by pertraktować z siostrami Matriony i szewcem-dezerterem.

Spierano się, komu przypadnie chata — siostrze czy przybranej córce. Chcieli już nawet iść do sądu, lecz pogodzili się, stwierdzając, że sąd nie odda chaty ani jednym, ani drugim, lecz radzie wiejskiej. Doszło do ugody. Kozę wzięła jedna z sióstr, chatę — szewc z żoną, a za udział Faddieja, który tu „każdą belkę własnymi rękami wyniańczył" uznano wywiezioną już przybudówkę; ustąpili mu też szopę, w której mieszkała koza, i cały wewnętrzny płot między podwórzem a warzywnikiem.

Znowu, przezwyciężając chorobę i łamanie w kościach, ożywił się i odmłodniał nienasycony starzec. Znowu zebrał resztę swych synów i zięciów, rozbierali szopę i płot, on sam woził belki na sankach, pod koniec już tylko ze swoim Antoszką z klasy ósmej C, który teraz wcale się nie lenił.

Chatę Matriony do wiosny zabito deskami, a ja zamieszkałem w pobliżu, u jednej z jej szwagierek. Później, przy rozmaitych okazjach, szwagierka ta wspominała Matrionę i jakby z nowej strony ukazała mi zmarłą.

— Jefim jej nie kochał. Mówił: lubię się nosić k u l t u r a l n i e, a ona byle jak, po wsiowemu. A raz, jakeśmy z nim do miasta jeździli na zarobek, znalazł tam sobie kobitę, do Matriony nawet wracać nie chciał.

Zawsze mówiła o Matrionie z niechęcią: była taka brudna; i nie uganiała się za dobytkiem; nie była oszczędna; i nawet prosiaka nie trzymała, nic hodować nie wiedzieć czemu nie lubiła; głupia była, obcym pomagała bezpłatnie (znalazł się właśnie powód, by wspomnieć Matrionę — nie było kogo wołać, by zorał warzywnik wprzęgnąwszy się do sochy).

I nawet o serdeczności i prostocie Matriony, które w niej dostrzegła, mówiła z pogardliwym współczuciem.

I dopiero teraz — z tych nieżyczliwych słów szwagierki — wyłonił się przede mną wizerunek Matriony, której nie rozumiałem nawet żyjąc tuż obok niej.

Bo w rzeczy samej! — prosiak jest przecież w każdej zagrodzie! A Matriona nie miała! Cóż łatwiejszego, niż karmić żarłocznego prosiaka, który nic na świecie nie uznaje prócz żarcia! Trzy razy dziennie mu gotować, żyć dla niego — a potem zarżnąć, mieć słoninę.

A ona nie miała...

Nie uganiała się za dobytkiem... Nie szalała, by kupować jakieś przedmioty, a potem strzec ich bardziej niż własnego życia.

Nie uganiała się za strojami. Za odzieniem, które zdobi szpetne monstra i bandytów.

Nie rozumiana, porzucona nawet przez własnego męża, pochowała sześcioro dzieci, lecz nie straciła życzliwości dla innych, obca siostrom, szwagierkom, głupio tyrająca na innych bezpłatnie — nie zgromadziła przed śmiercią dobytku. Brudnobiała koza, kulawy kot, fikusy...

Żyliśmy wszyscy tuż obok niej i nie rozumieliśmy, że był to ów człek sprawiedliwy, bez którego, jak głosi przysłowie, nie może istnieć wieś.

Ani miasto.

Ani cała ziemia nasza.

1959

Przełożyła Alicja Wołodźko